

סנהדרין



– To co FBI mówi o McKormacku nic nas nie obchodzi! Jesteśmy niezależnym pismem i będziemy prezentować tylko nasze poglądy. Jeśli ci się to, Whorton, nie podoba, to poczytaj sobie „Looka”! – mężczyzna przy biurku ze złością w oczach rzucił słuchawkę na widełki i wrócił do przeglądania dzisiejszego wydania „World Herald News”. Pod dużym artykułem o planach senatora McKormacka opatrzonego jego zdjęciem, zauważył obwiedzioną ramką doniesienia agencyjne o klęskach ekologicznych w różnych częściach świata. Trzęsienie ziemi w Japonii, Chinach, Grecji i Australii, nowe wybuchy wulkanów na Islandii i w Stanach Zjednoczonych, tajfun na Hawajach, powódź we Francji i Indiach. Uśmiechnął się pod nosem i przewrócił stronę.

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Pearce’a, szefa działu reporterskiego. W zębach trzymał nieodłączną fajkę i oczywiście nie raczył jej wyjąć.

– Hej człowieku, naczelny nas wzywa! Skończ czytać i chodź.

Mężczyzna przy biurku popatrzył na niego przeciągle i nie ruszył się z miejsca. Z korytarza dochodził wściekły stukot masyżnych do pisania i dzwonki teleksów.

– Stary, przecież mówię do ciebie. Nie słyszysz do cholery...

– Nie rozumiem co mówisz. Wyciągnij ten komin z gęby i powtórz raz jeszcze.

Pearce pokręcił z dezaprobatą głową i na moment odjął fajkę od zębów.

– Dobra, już dobra, odchrzań się wreszcie od mojego palenia. Tydzień temu rzucałeś papierosy i teraz podejść do ciebie nie można. Chodź już, bo Wallace będzie się pieklił...

Rédaktor naczelny „World Herald News” ku zaskoczeniu obu dziennikarzy powitał ich z promiennym uśmiechem na ustach. Wytoczył się nawet zza wielkiego biurka i wbrew regule zaprosił do zajęcia miejsc w fotelach pod oknem.

– Robinsky, narobiłeś straszego zamieszania tym swoim tekstem o McKormacku. Whorton powiedział, że urwie ci..., no wiesz co...

– Wiem, do mnie też dzwonił.

– Miałem też sygnały z Pentagonu, Biura Federalnego i Kongresu. Wyzywają cię od zawszonych komunistów, zidiociałych pismaków, wrogów ustroju i tak dalej – Wallace zacierał ręce z radości i grymas zadowolenia nie schodził mu z twarzy. – Dla gazety do dobrze, ale ty możesz się z tego tym razem nie wywinąć. Ująją cię i „Wiadomości” stracą zdolnego dziennikarza...

– Nic mi nie robią. Spokojna głowa! Dwa miesiące temu jak rozpracowałem Brighton Industrial Company wrzeszczeli tak samo – Robinsky ze spokojem na twarzy wyjął zapałkę z pudełka Pearce’a i włożył ją do ust – Zresztą chłopakom z działu reporterskiego też się powinno oberwać. Pod apel McKormacka wzywający do zaprzestania doświadczalnych wybuchów jądrowych pod ziemią, wodą i w atmosferze wrzucili informacje o klęskach żywiołowych na świecie. To tamtych rozwścieczyło całkowicie.

– Dobra. Damy temu na razie spokój. Mam dla ciebie następną sprawę. Nasz człowiek z Zachodniego Wybrzeża doniósł o tym wczoraj. W Seattle jakiś domorosły astronom wykrył dziwną rzecz na niebie. Podobno coś wielkiego zbliża się z Kosmosu. Próbował tę informację puścić do gazet lokalnych, ale ktoś go umiejętnie zablokował... Do kroćset! Mógłbyś wyjąć tę zapałkę z ust jak do ciebie mówię! – Robinsky od dłuższego czasu maltretował drewno z siarkowym tębkiem nie zdając sobie nawet sprawy z tego. Pearce wyszczerzył triumfalnie zęby i mrugnął porozumiewawczo do kolegi.

– Zapal sobie jak musisz, a nie gryź mi tego świństwa...

– On nie pali od siedmiu dni! – złośliwie napomknął Perc, ale zaraz umilkł kopnięty pod stołem w kostkę.

- To niech sobie chrupie fistaszki! Wracam do sprawy - pojedziesz i zbadasz wszystko na miejscu. To może być plotka, ale kto wie... Jeśli ktoś kładzie łapę na takiej „ogórkowej” informacji... Dobra, ludzie lubią sensacje, zawsze coś co z tego wyjdzie!

- A ja?! - Pearc miał głupią minę, bo nie wiedział po co go wezwano.

- Ty z chłopakami postarajcie się dowiedzieć jak najwięcej tu na miejscu. Uruchoćcie naszych informatorów w Biurze Prasowym Białego Domu, obstawicie woj-ski i naukowców. A teraz do roboty!

★ ★ ★

Dom Iry Blumfelda znajdował się poza miastem, wysoko w górach. Robinsky dojechał na miejsce wynajętym „Fordem” w godzinę. Zaparkował pod ogrodzeniem, trzasnął drzwiami i narzucając kurtkę nacisnął guzik domofonu. Dwa wielkie brytany hałasowały przeraźliwie tuż za furtką.

- Kto tam? - usłyszał w głośniku. - Nie chcę z nikim rozmawiać! To że podsłuchujecie moje rozmowy telefoniczne i nie pozwalacie mi ruszać się z miasta nie zmusi mnie do przyjęcia waszych warunków! Jeszcze raz powtarzam, że wszystkie zdjęcia są prawdziwe...

- Nazywam się Robinsky. Dzwoniłem do pana.

- Przepraszam. Myślałem, że to znowu oni. Zaraz zabiorę psy.

Gdzieś z tyłu domu rozległ się skrzyp otwieranych drzwi i jakiś stary głos zawołał - „Dick, Kuttner do nogi!”. Psy uspokoiły się i pobiegły wolno do pana.

- Może pan wejść - zabrzmiało z domofonu - Otworzyłem już furtkę.

Blumfeld był wysokim mężczyzną o wyglądzie niemieckiego arystokraty. Oprócz nazwiska nic nie wskazywało na jego żydowskie pochodzenie. Jego laska rytmicznie postukiwała o drewnianą podłogę, gdy prowadził Robinsky'ego do swojego gabinetu. Podpierała sztywną, chorą nogę.

- To dziwne, że przepuścili pana do mnie. Policja blokuje mój dom od tygodni. Pozwalają mi wyjeżdżać tylko po pro-

wiant. Niech pan pokaże jakąś legitymację. Naprawdę jest pan dziennikarzem?!

- „World Herald News”. Wschodnie Wybrzeże... - Robinsky rzucił kartę identyfikacyjną na stół - Dlaczego pan pyta?! Boi się pan dziennikarzy?!

Blumfeld uważnie odczytał napisy i oglądał zdjęcie porównując je z twarzą dziennikarza. Uspokajał się powoli, choć twarz miał nadal spiętą i nerwowo ścisnął rączkę bambusowej laski.

- Nie boję się dziennikarzy. Boję się ich - machnął ręką w stronę okna - Zresztą jest pan pierwszą osobą, która z własnej woli chce napisać o moim odkryciu. Telefonowałem do okolicznych gazet, ale żadna nic na ten temat nie wydrukowała. Wygląda na to, że oni boją się mnie.

- Ja wydrukuję! Zobacz pan... Może pan mi wierzyć...

- No i co z tego, że panu uwierzę?! To ludzie, wszyscy ludzie powinni w to uwierzyć i bać się nieodgadnionego. Ta maleńka kropka, którą sfotografowałem tydzień temu już wtedy wyglądała złowieszczo. Gdy wywoływałem zdjęcia poczułem, że tak wygląda śmierć...

Robinsky nachalnie wpatrywał się w oczy starego człowieka. Twarz miał nieruchomą, spokojną. Nie chciał dać poznać po sobie jak przyjmuje słowa Blumfelda. To mogłoby spłoszyć rozmówcę. Najważniejsze jest mówić. Dużo mówić, dużo pytać, stwarzać atmosferę zrozumienia, zdobywać coraz więcej informacji. Maleńka dioda wmontowana w cyferblat zegarka dziennikarza pulsowała rytmicznie czerwienią w rytm głosek wypowiedzianych przez astronoma-amatora. Nagranie będzie wyraźne.

- Przecież to, co pan wykrył na swoim nieprofesjonalnym sprzęcie, nie mogło zostać nie zauważone przez naukowców w wielkich obserwatoriach astronomicznych. Dlaczego oni nie ogłosili do tej pory swojego odkrycia?!

Blumfeld popatrzył na Robinsky'ego uważnie. Jeszcze raz rzucił okiem na kartę identyfikacyjną i rozejrzał się z łękiem po pokoju. Jeden z wielkich psów zawarczał ostrzegawczo w stronę dziennikarza, wstał spod kominka i położył się tuż obok nóg swego pana.

- Spokój Dick! - Zmarszczki na twarzy gospodarza rozgnodziły się. - Przepraszam, przez chwilę myślałem, że nie jest pan jednak tym za kogo się podaje. Oni przez cały czas mówią mi to samo. Każą mi wierzyć, że naukowcy nie odkryli niczego. Tylko, że ja wiem dlaczego oni tak mówią.

Blumfeld podniósł się z trudem z głębokiego fotela. Psy poderwały się również.

- Proszę ze mną, pokażę coś panu. Po to przecież pan tu przyjechał. Tylko proszę się nie przestraszyć!

Pierwszy lekki wstrząs szarpnął podłogę. Stary człowiek dzierżąc w jednej ręce laskę drugą oparł na grzbiecie czarnego wilczura. Szkło zadzwoniło w drewnianym kredensie.

Następne było o wiele potężniejsze. To było trzęsienie ziemi. Grunt ożywał pod nogami.

★ ★ ★

- To nie mógł być fotomontaż! Po co facet miałby to robić. Naukowiec z takim dorobkiem... Ludzie, przecież to jest Blumfeld. Ten Blumfeld, który badał istotę kwazarów i teoretycznie rozwinął prawa Einsteina. Jakieś osiem lat temu wycofał się z czynnego życia i zajął wyłącznie astronomią...

- Spokojnie, Robinsky! Nie podniecaj się. Zdążyłem już przejrzeć wszystko, co mamy na temat Blumfelda w naszym archiwum. Wyniósł się z Holandii, bo jego współpracownicy oskarżyli go o religijne spiaczenie. Obrazili się po prostu - Pearce pociągał dawno zgasłą fajkę i flegmatycznie przerzucał plik informacji zebranych przez reporterów.

- No i co, do cholery! Facet tam u siebie w górach ma profesjonalny sprzęt naukowy. Nie jakieś tam lusterkowe lunetki, tylko wielki elektroniczny teleskop z górą skrzynek pełnych tranzystorów i kolorowych drutów. On te zdjęcia zrobił naprawdę!

- Masz je ze sobą? - Wallace był bardzo poważny.

Raz za razem wrzucał do ust orzeszki arachidowe i gryzł je ze złością.

- Pewnie, że mam. Są niewyraźne, ziarno wyszło przy dużym powiększeniu... - Robinsky rzucił na stół grubą plik fotografii - To przecież Kosmos. Wielkie odległo-

ci, zawirowania optyki, pola elektromagnetyczne...

- O matko, to okropne! - Pearce wypuścił fajkę z zębów. Stuknęła głucho o blat stołu i potoczyła się pod okno.

- Te ostatnie są sprzed dwóch dni. Potem było to wielkie trzęsienie... Rozwaliło obserwatorium wtedy, gdy ziemia ruszyła się po raz drugi - dorzucił Robinsky.

- Przecież to jest... - ręce Pearca nie drżały już, ale trzęsły się potężnie z wielką amplitudą pomiędzy jego szczęką a blatem stołu.

- Nie mów nic, Pearce! - Wallace rozejrzał się znacząco po ścianach pokoju redakcyjnego. - Nigdy nie wiadomo... I tak wszyscy widzimy, co to jest. Już sama masa tego musi ruszyć tą planetą. Wiemy teraz skąd się biorą te wielkie trzęsienia Ziemi. Musimy być przygotowani na najgorsze...

- Musimy to dać do gazety! Nie możemy tego tak zostawić! Ludzie powinni się dowiedzieć, co ich czeka... - Robinsky troskliwie pobierał fotografie i niezgrabnie wpychał je do teczki. - Nie wiadomo jak długo jeszcze gazeta będzie się ukazywać...

- Puszczamy to jutro! - Wallace był zdecydowany - Pearce, powiedz Growlingowi, żeby wyrzucił wszystko z pierwszej i drugiej strony. Robinsky - tekst gotowy ma być na dwudziestą drugą, te ostatnie foty zostaw już teraz... Aha, powiedz jak ci się udało wyjechać do Blumfelda?

- Policji nie było na drodze. Widziałem tylko w górach dwa strzaskane wozy z oznakowaniem szeryfa. Seattle jest zrównane z ziemią... Przeżyło niewiele. Udało mi się zabrać ostatnim samolotem.

- A Blumfeld?!

- Przywiozłem go i umieściłem w bezpiecznym miejscu. Psy też.

- To dobrze. Może być nam jeszcze potrzebny...

Na ulicach Baltimore panował względny porządek. Patrole wojska stały na każdym rogu ulicy. Wozy policyjne bez przerw kursowały po kluczowych arteriach regulując ruch i uważnie obserwując zachowanie się pieszych. Paniki jednak nie było. Informacja o zagrożeniu z Kosmosu nie rozprzestrzeniła się jeszcze. Rząd Sta-

nów Zjednoczonych przechwytyjąc zło-wieszczą wiadomość wierzył, że postępuję w interesie i dla dobra swoich obywateli. Podobnie zresztą uczyniły rządy wszystkich krajów świata. Obserwatorium Mount Palomar zauważyło odległe poruszające się ciało w Kosmosie o trzy godziny i dwadzieścia minut wcześniej niż zrobił to Blumfeld. Informacja o odkryciu i wszystkie nowe szczegóły były na bieżąco przesyłane do prezydenta. Naukowcy szybko obliczyli kiedy nastąpi koniec. Nie-trudno było przewidzieć, co będzie się działo na planecie po zbliżeniu się obcego ciała do Ziemi. Bryła mknąca z olbrzymią prędkością poprzez próżnię miała objętość trzykrotnie większą niż glob zamieszkały przez rasę ludzką. Jej masa nie mogła być mniejsza. Siły grawitacji to broń o wiele potężniejsza od jakiegokolwiek oręża znanego człowiekowi.

Liczono powszechnie na cud. Panika nie sprzyjała cudom.

Robinsky prowadził swojego „Hitaiashi” bardzo niespokojnie. Ruszając spod wieżowca redakcji „World Herald News” zahaczył o błotnik czerwonego sportowego „Mercedesa”, potem przejechał dwa skrzyżowania na czerwonych światłach, a parkując pod domem rozrzucił po ulicy całą baterię plastikowych kubków na śmieci. Posterunkowy pogroził mu pałką, ale nie pofatygował się, by wypisać mandat. Od wczoraj nakazano mu zwracać uwagę na zupełnie inne rodzaje zachowań mieszkańców dzielnicy – miasta Annapolis. Robinsky’ego kapral Porter znał dobrze. To był spokojny człowiek.

Zostawił samochód pośród śmieci i pognął na górę. Torbę podróżną rzucił w przedpokoju, marynarkę zostawił w łazience, krawat w kuchni. Nalał sobie dużego drinka i usiadł przy biurku ze słuchawkami na uszach. O dwunastej czterdzieści pięć artykuł był gotowy. Zadzwonił po gońca. Telefon redakcji nie odpowiadał. Zdenerwowany włączył telewizor. Za pięć minut powinny zacząć się centralne wiadomości. Z ulicy przez uchylone okno dobiegał jakiś cichy, nasilający się jednak szum. Wyrzwał na balkon. Ludzi nie było widać. Gdzieś od strony portu kołysał się w powietrzu odbłask płomieni. Wiatr od morza przynosił oddalone krzyki i wycie

syren. Nagle balkon zakolysał się pod nogami. Duży płat tynku pękł w ciszy wzdłuż linii zamocowania balustrady i leniwie opadł w dół. Z pokoju dał się słyszeć trzask pękających szyb i gruchot spadających w kuchni garnków. „Chyba się zaczyna”, pomyślał Robinsky i wrócił przed telewizor.

Właśnie rozpoczynał się dziennik. Facet ze smutną miną czytał wykaz trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów, wylewów rzek i mórz. Dużo tego było. Potem powiedział: „Uwaga, przeczytałem komunikat specjalny. Jak donoszą astronomowie z obserwatorium Mount Palomar do Ziemi zbliża się niezidentyfikowane do tej pory ciało niebieskie sporych rozmiarów. Podejrzewa się, że właśnie ono mogło spowodować ten straszny cykl następujących po sobie klęsk żywiołowych. Istnieje nadzieja, że ciało niebieskie już niebawem ominie naszą planetę i zacznie się oddalać. Do tej jednak pory rząd USA ogłasza na terenie całych Stanów Zjednoczonych stan wyjątkowy. Prosi się o zachowanie spokoju i poszanowa...” Ktoś odepchnął nagle prezentera od mikrofonu. Gdy ten próbował oponować czyjaś ręka zza ekranu trzasnęła go potężnie w twarz. Upadł. Robinsky wzmógł uwagę. Przed kamery wtargnął człowiek w zapoconych okularach i potarganym ubraniu. Podniósł przewrócony mikrofon, spojrział prosto w obiektyw i ryknął:

– Ludzie słuchajcie mnie!!! Oni was oszukują... Japonia zapadła się w morze, nie ma już Ameryki Środkowej, połowę Europy wraz z Anglią zalała woda... Mało wam? Zachodnie wybrzeże naszego kraju to jeden kłęb lawy i wulkanów! Nie ma już miejsca na Ziemi, gdzie by grunt nie drżał. To koniec świata ludzie! Przygotujcie się na śmierć! To kara za bomby atomowe, nierząd, wyzysk i kłamstwo... Ten, kto nas wszystkich ukarze, jest już blisko. Czy wiecie kto to?! Czy wiecie co to za „ciało” zbliżające się do Ziemi?! Popatrzcie więc, mam zdjęcia, dobre zdjęcia, wyraźne zdjęcia... Poznajecie!!! – wyciągnął spod pachy plik wielkich fotografii i jedną z nich na wyciągniętych rękach rozpostarł przed kamerą – POZNAJECIE!!! – jeszcze raz krzyknął.

Ta odbitka była o wiele lepsza od tych zrobionych przez Blumfelda. Duża, czytel-

na, kontrastowa. W czerni Kosmosu widać było jasną, chropowatą, owalną bryłę. Na jej przedzie, w centralnej części plamy widniało oko. Wyraźnie patrzące wprost na miliony widzów OKO zamknięte w trójkątnym oczodole. Wprost na żrenicy były przeraźliwie białe promienie. Rozchodziły się we wszystkie strony. Tworzyły jakby pajęczą siatkę na zdjęciu.

Drugi wstrząs przyszedł potężniejszy niż pierwszy. Pękła ściana i kuchnia zapadła się w dół. Na głównej ulicy ludzie wrzeszczeli jak szaleni. Coraz gwałtowniejszy potok ludzi kierował się na zachód. Wieżowiec naprzeciwko, ten wybudowany nie tak dawno, legł w gruzach. Słychać było jęki rannych ludzi potrzebujących pomocy.

Robinsky podszedł do biurka i wyciągnął dawno nie używanego „Colta”. Wyczyścił go ze smaru i naładował. Z butelką „Whisky” usiadł w fotelu. Świat się kończy. Pociągnął tęgi łyk alkoholu i wstuchił się w noc. Pośród krzyków i zawodzeń ludzi, tupotu nóg, i huku pękających murów i syku płomieni rozróżnił też cichy plusk wody. Morze zalewało Baltimore. Zachciało mu się palić. W najniższej szufladzie szafy znalazł zapomnianą paczkę „Came-li”. Otworzył ją, wyciągnął papierosa i zapalił. Zapałka długo nie chciała gasnąć. Robinsky chwilę trzymał ją w palcach, a potem przytknął płomień do kilkunastu luźnych kartek na biurku. Artykuł o Bogu, który przybywa na Ziemię nie będzie już potrzebny. Gene Robinsky nie zadziwi już świata swoim dziennikarskim sprytem i ostrością pióra. Skończyło się...

Strzału z broni palnej nie słyszał nikt. Huk zlał się z rozdzierającym uszy jękiem Ziemi, która otworzyła się w środku miasta. Purpurowa lawa walczyła o prymat z wodą. Ludzi już nie było.

★ ★ ★

Gwallba była już bardzo blisko dojrzewającego jaja. Hamowała powoli obawiając się przekroczyć bezpieczną granicę. Mały powinien sam rozbić skorupę i zbliżyć się do matki-ojca. Jeśli nie zda tego pierwszego egzaminu tradycja nie pozwoli go uczyć. Gwallba władająca tym obszarem przestrzeni musi być silna i mądra.

Inaczej zle Kragguny przedrą się podstępnie przez czarne dziury po gwiazdach i zwyciężą w tej odwiecznej walce. Dlatego też stara Gwallba matka-ojciec, zadbała, żeby jaj w przestrzeni zostawić dużo. Dla każdego był czas na dojrzewanie. Małą, zdrową Gwallbę trzeba było długo uczyć życia i walki. Gdy wyszkolonych Gwallb będzie już cała armia – zwyciężą Kragguny.

Gwiazda, którą Gwallba matka-ojciec zapaliła miliony tysiącleci płonęła dalej jasno. Widocznie dostarczała wystarczającą ilość ciepła, jeśli jedno z jaj już było dojrzałe. Gwallba matka-ojciec zatrzymała się całkowicie i spojrzała badawczo na jajo. Wbrew regule gotowe do pęknięcia było trzecie jajo, a nie pierwsze czy drugie. Gwallba matka-ojciec była zdziwiona. „Wcześniak?” pomyślała. „Niedobrze! Pewnie będzie słaby i chorowity”. Jak każda matka-ojciec Gwallba kochała swoje dzieci.

Jakby pod wpływem promiennego spojrzenia Gwallby matki-ojca jajo poruszyło się i jego skorupkę pozaczyła siatka mikroskopijnych pęknięć. Widać było, że mała Gwallba w środku natężyła wszystkie swoje siły żeby wyostać się na świat.

Gwallba matka-ojciec była bardzo wrażliwa i chętnie pomogłaby małemu wcześniakowi. Porozglądała się przeto uważnie, czy zza załomu czasowego nie wystaje gęba jakiegoś Kragguna co to zaraz polecą naskarzyć do naczelnego rozjemcy Hraampa, że Gwallba matka-ojciec łamie reguły na polu bitwy. Nie było nikogo. Gwallba podsunęła się więc dyskretnie o kilka mikroarunów do przodu i popatrzyła, co z tego będzie. Rezultaty były widoczne od razu. Szczeliny poszerzyły się wyraźnie i przez nie zaczęły się wylewać w przestrzeń rozgrzane do czerwoności wody porodowe. Gwallba matka-ojciec natężyła się w sobie i jeszcze raz postała wprost w jajo jasne promienie zachęty.

Mała Gwallba czuła obecność matki-ojca. Fala czerwonej mgły jeszcze potężniej uderzyła ze środka skorupki, a potem całe jajo rozpadło się bezdźwięcznie w próżni na miliony malutkich kawałków. Ze środka wesoło mrugając trójkątnym okiem wypłynęła mała Gwallba. Zdrowia i silna. Nikt z ludzi tego nie widział.